Nr. 22. We Lwowie dnia 3. czerwca 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

Z DZIEJÓW PRASTAREJ WSZECHNICY.

(Z wydawnictwa „Liber diligentiarum“ krakowskiego fakultetu filozoficznego z lat 1487—1563 przez dr. Władysława Wisłockiego. — Patrz: Pamiętnik Akademji umiejętności w Krakowie“, t. VI — wydział historyczno-filozoficzny).

Z powodu pięć wiekowego jubileuszu wszechnicy jagiellońskiej, chcielibyśmy z historji tej prababki szkół naszych podnieść jeden fakt, który w XVI wieku Rzeczpospolitę polską dziwnie jakoś opromienia, a z nią razem i fakultet filozoficzny i cały z nim Uniwersytet Jagielloński w szczególniejszem jakiemś i niezwykłem stawia świetle.

W owym czasie t. j. w latach 1487 — 1563 można oligarchja szlachecka wszędzie już i wszystko, począwszy od skromnych jurgieltów i intratnych starostw, aż do najwyższych dostojeństw i urzędów w państwie, chciwie w swoje pochwyciła ręce. Coraz ciemniejsza i coraz bardziej w sobie zamknięta kasta, ani trochę już nie dbała o założony przez Kazimierza Wielkiego, a przez Jadwigę i Władysława Jagiełłę w tak świetny sposób odnowiony uniwersytet, skutkiem czego, stoi przed nami nagi, dawno już uznany fakt, że nauki w XVI w. w uniwersytecie tym upadły. W czasie bowiem kiedy prawie już od 100 lat uczeni humaniści w gimnazjach i fakultetach zagranicznych, nowemi, światlejszemi poszli drogami, uczono na uniwersytecie krakowskim filozofji Arystotelesa i innych nauk wyzwolonych według ciasnej, scholastycznej metody „subtilissimi doctoris Joannis Duns Scoti“. Rojna gromada magistrów ówczesnych wobec humanizmu i reformacji zachowywała się zupełnie obojętnie i ani nie była zdolną sama ze siebie coś wytworzyć, ani nie posiadała na tyle w sobie ochoty i siły, ażeby od humanizmu i reformacji przyjąć to właśnie, co one dla nauki lepszego przynieść mogły i w rzeczy samej przynosiły.

Przyczyna tego tkwi w braku profesorów, przestarzałej organizacji uniwersytetu, która do katedr dopuszczała magistrów młodziutkich, ośmnasto, lub dziewiętnastoletnich. I tu właśnie, w owym wielkim upadku nauk, leży fakt, rzucający dziwnie ponure światło na szlachtę ówczesną, a melancholijnym jakimś blaskiem opromieniający inne stany narodu. Bogata, uprzywilejowana szlachta stroniła od nauk, a do katedr uniwersyteckich sposobiła się z małymi wyjątkami młodzież uboga, niezamożna, pracująca wśród głodu i chłodu, w najgorszych warunkach. Nic też dziwnego, że i nauka nie mogła stanąć wysoko, ale to jest właśnie dziwne i wielkie, że w chwili upadku honor szkoły krakowskiej podtrzymywali synowie mieszczan i włościan. „Liber deligentiarum“ tj. spis magistrów i wykładów, o którym właśnie mowa, dostarcza na to niezbitych dowodów. Cała ta bowiem rojna rzesza uczących magistrów, których w okresie od r. 1487 do 1563 było około 550, daje się z grubsza na dwie podzielić części: na pochodzących z obrębu granic ówczesnej Polski i z poza jej granic. Ostatnich jest zresztą tylko około 70 — sami prawie Węgrzyni i Ślązacy, trochę Morawian i z Miśnji, a bardzo mało już z dalszych stron, jak: Włosi, Strozza i Illicinus, Chorwat Lubić, Anglik Coxus i Agricola Wasserburgensis de Constantia. Wszystko to przytem sami prawie wychowańcy Uniwersytetu krakowskiego. Reszta magistrów wykładających pochodziła z granic ówczesnej Polski, ale za wybitniejszymi nazwikami osiadłej i możniejszej szlachty napróżno w tej rojnej oglądamy się gromadzie. Liczba nazwisk szlacheckich opada o wiele niżej jednej ósmej części całości, a w dodatku różne jeszcze nasuwa wątpliwości. Tacy np. Gostyński de Cracovia, Boroniecki de Nowopole, Dobrosielski de

Sandomiria, Prosiński de Piotrkovia i t. d., to już widocznie synowie szlachty, dla ubóstwa mieszkającej w miastach i miasteczkach, gdzie też trudniąc się łokciem i miarką, mieszczańskim już oddawała się zajęciom.

A inni uczący magistrowie? Przeszło ⁶/₈ części ich, to sami mieszczanie, lub dziatwa z pod wiejskiej strzechy kmiecej, to jeden w drugiego, jak ich wówczas nazywano „plebeji" lub „pesonae contemptibiles". To przedewszystkiem blisko 80, a więc przeszło ¹/₈ część całości, piszących się de Cracovia. Inni zaś? To same: Brzezińczyki, Gostyńczyki, Ilkuszczyki, Iłżanie, Kazimierczyki, Kleparzanie, Kobylińczyki, Kościańczyki, Krośnianie, Leopolici, Lubelczyki, Łomżanie, Łowiczanie, Pilznianie, Piotrkowczyki, Poznańczycy, Przemyślanie, Samborczyki, Sandeczanie, Sandomierczyki, Sieradzanie, Stradomczyki, Szamotulczycy, Warszawianie, Wieliczanie, Wileńczycy, Wiśliczanie... To jeden w drugiego: Brudzewczyk, Drohobyczanin, Jarosławczyk, Jasielczyk, Leżajszczanin, Sanoczanin, Tarnowianin, Tucholczyk, Tyczynianin... To dalej jeden w drugiego: Albinus, Dilectus, Episcopius... To magister w magistra: Bargiel, Bełza, Bełzik, Biały, Bieda, Brzana, Bylica, Cichosz, Ciołek, Dzięcioł, Glicza, Grucza, Grzywna, Janeczka, Jelonek, Kij, Kobylinko, Kociełek, Kołaczek, Koza, Krypa, Kułap, Kunasz, Lis, Łysy, Malek, Matla, Mazaniec, Mikosz, Mleczko, Mostek, Mucha, Paterek, Piątek, Pirzchałka. Przybyło, Pszonka, Recepta, Różanka, Sierotka, Stawek, Słup, Śmieszek, Srolla, Stalek, Szalek, Tuszek, Wiewiórka, Wróbel, Żyła...

To wreszcie z obrębu ówczesnej Polski o niemieckich nazwiskach: Beck, Bederman, Creusel, Fridel, Haller, Kaufmann, Pechmann, Wasserbrod... To zresztą prawie sami: Aurifabri, Cieśle, Garbarze, Krawce, Molitores, Mydlarze, Pictores, Tectandri, Vitreatores... A wszystko przytem, z bardzo małym może wyjątkiem ludzie bez zasobów i niezamożni. Słowem, krakowski Wydział filozoficzny, a z nim razem i Uniwersytet Jagielloński to już w stolicy szlacheckiej Rzeczypospolitej jakiś szczególniejszego rodzaju mieszczańsko-włościański zakład szkolny opuszczony ze wszystkiem prawie nietylko przez rządzącą państwem możną oligarchję szlachecką, ale opuszczony także przez tron królewski, z którego wysokości i wspaniale, a bogato ustawionych stołów w tym czasie resztki tylko i mizerne spadały mu niedojadki. Czyż wobec tego opuszczeni ci przez wszystkich i własnemu tylko losowi i przemysłowi pozostawieni młodzi i ubodzy magistrowie, pracujący o chłodzie i głodzie na chleb codzienny, mogli o własnych siłach wytworzyć jakiś nowy, potrzebom czasu bardziej odpowiedni plan i sposób uczenia? Wszystko musiało pozostać przy starodawnym planie i przy starodawnej metodzie uczenia: ad mentem subtilissimi dris Joannis Duns Scoti!

Na pochwałę wszakże całej tej rojnej gromady owych mieszczańskiego i kmiecego rodu magistrów i owych nielicznych, ale podupadłych i biednych dzieci szlacheckich, owych plebejuszów — na ich wielką pochwałę wyznać należy, że odczuwali oni nowe prądy naukowe, wiedzieli, że nauka i literatura oddawna już innymi drogami na południu i zachodzie kroczy, że w dalekiej Italji wszystko już w szkołach się zmieniło. Po dwakroć też — według naszego „Liber diligentiarum" zrywali się krakowscy magistrowie i Kraków opuszczali, ażeby do tej dalekiej, a upragnionej Italji, dla dalszego wykształcenia się w naukach podążyć. I tak zapisuje nasza księga

---

SAMARYTANKA.

„Umarła żydowi córka. Takiemu, wiecie, pejsaczowi, co to handluje mąką na naszem przedmieściu. Miał jeno dwie — i obie dawał do szkół przerozmaitych. A jak wróciły, to opowiadała stara żydowica, że one i za nauczycielki mogą być. Choć ja ta temu nie wierzę...

Ładne były, można otwarcie pedzieć, i w samej rzeczy przystojne. Tej mi najbardziej żal, co umarła, choć... powiadają ludzie, że to grzech żyda żałować.

Ale i ona mnie czasem pożałowała.

Przyciągnę, bywało, parę wozów mąki po takim mrozie, że ci gnat od gnata odłazi, to pójdę się zagrzać do kuchni. Nieboszczka (Boże odpuść, gdzież tam nieboszczka, kiedy to żyd), to ci pokryjomu przed starą żydówką wyniesła mi haraku.

— Napijcie się, — powiada — boście pewnie zmarzli...

Co ją to miało boleć, że ja zmarzł? Nikogo to nie bolało na całym świecie... Co ją to miało obchodzić? Sami powiedźcie... Ale ją przecie obchodziło.

Raz, kiedym ściągał worki z wozu, stało mi się nieszczęście. Niechcęcy przecie, ale się stało. I to skrony kogo? Skrony tego wisusa, syna blacharskiego z naprzeciwka. Bo to huncfot, powiadam wam, nic z niego nie urośnie.

Ściągam worki jedną ręką, a drugą-m se, wicie, pomagając, sparł mocno na ręczycy. Ten zachodzi koło wozu z tej i z tamtej strony... Powiadam mu po dobrości: „Odejdź, psi synu, bo jak cię dopadnę"... A ten nic. Jeszcze mie przezywa: „Kulasie, pokrako, woziwodo żydowski!" Co ja mu winien? Aż porywa za dyszel i skręcił. Złapało mi rękę między koło i między ręczycę, na której była sparta — i co powiecie? Zdarło mi het, skórę doznaku, moiściewy, z trzech palców.

Lecę ja do kuchni, a ona się akurat nawinęła... Niech jej ta Bóg grzechy odpuści:... Choć może i grzech wspominać żyda. Ale niech ta. Opatrzyła mi palce, owiązała starannie, pomalutku.

w półroczu zimowem r. 1544: „był w tedy brak magistrów z powodu zarazy i udania się do Włoch“, w półroczu zaś zimowem 1553 notuje nazwiska aż ośmiu magistrów, którzy bez pozwolenia do Włoch podążyli. Były to jednakowoż usiłowania, odosobione prywatne, przez nikogo nie poparte, dlatego też żadnych dalszych nie przyniosły owoców.

Z wystawy paryzkiej.

Niema większego pana, jak lud paryzki w czasie wyborów.

Od początku maja ściany ulic poubierane w różne odezwy, ogromnie przeciwne sobie, ale zgodnie mówiące ludowi, że sprawiedliwy, rozumny i wielki, wielki! W imię onego rozumu stronnictwo każde powiada: musicie na mnie głosować.

A lud w zbiorowej wielkości swej odczytuje, rozważa i sądzi.

Zapewne — pod majestatem ludowym cała sieć intryg przebiega, wysiłków, a może nieraz i gwałtów.

Kolej podziemna dymem kopcąca, ruchliwa, czynna.

Zapewne nie wszystko to zblizka dobre i piękne.

Jednakże oczom przywykłym do tego, że między niemi, a słońcem jest najpierw imię cara podobne do chmury przygnębiającej, — bezwładnej i obojętnej, a potem bliżej i bezpośrednio i ciężko zapamiętała moc urzędników carskich, którzy pilnują gorliwie, by ciemno było... Jednakże takim oczom... ludzkim, a pozbawionym godności człowieczej, wydaje się, iż ujrzały naraz ogromne dziwo!

A tutaj rzecz naturalna bardzo i prosta, oto naród pod słońcem swobodnie chodzi...

Lud stołeczny Paryża, jak wielki pan i kapryśny, każe sobie co dziesięć lat pokazywać mniej, lub więcej udatne wizerunki wszystkich krajów dalekich i blizkich. W ten sposób podróżuje z łatwością i rad jest z samego siebie. Francuzi wyjeżdżać nie lubią, a szkoda! Mniejby oka-

---

— Bardzo was boli? — pyta się mnie, i widzę na jej twarzy troskę rzetelną.

Po co ona się pytała? powiedźcie... Czy ją to bolało? Nikt nigdy na calutkim świecie nie spytał się mnie: czy cię co boli, abo jak.. A przecie bywały nieraz i gorsze wypadki i większe nieszczęścia skrony ludzi.

Aż jednego razu zasłabła. Nie wiem, co jej się takiego stało, moiściewy, dość, że zasłabła. Leżała jeno bez cztery dni. Żyd sprowadzał dochtorów, jakich jeno świat miał — nic nie pomogło. Śmierzci nie przekupi, moiściewy, choćby jej worek piniędzy nasypał. Nic nie pomoże.

Wracam z kolei z mąką i dowiaduję się od przekupki, że już po niej. Coś mnie ukłuło w samo serce, jakby kto szpilką dźgnął.

Zajeżdżam bliżej, a tu krzyk. Żyd prawie odchodzi od rozumu, wyrywa se pejsy garściami. Matkę zemgliło doznaku. Nawet już i nie krzyczy. Ja stoję z biczyskiem w ręku — patrzę na to wszystko i czegoś mi żal... Czegoś mi, wicie, straszny żal.

Ludzi się nazlatywało moc — słyszę, gadają o niej dookoła, ale nikto nie pożałuje.

— Umarła — mówią między sobą. — Jednego żyda mniej...

— A djabli tańczą z radości...

Dyć to prawda, co powiadają. Żyd pono nie pójdzie do nieba. A przecie ona się mnie pytała wtedy, czy ja zmarzł... nikogo to nie bolało, jeno ją...

— Nie żałujcie parszywki, Mikołaju. Każdy żyd, to złodziej jednaki.

— Dużo wam ukradła?

Maciejowa narobiła krzyku. Zprzezywała mnie na głos wobec ludzi... ale niechta! Co ja se ta z nich robię? Nikogo to nie świędzi, ani boli, czy ja haw żyję...

Zaraz na drugi dzień kazali ją pochować, że to niby umarła na tyfus. Trumnę rzucili na wóz, jak nieprzymierzając nieochrzczone jakie stworzenie — i powieźli. Stary ojciec szedł w ciżbie, jakby sam umarty, a matka to już i nie szła, nie dała rady iść.

I ja się, wicie, zaplątał pomiędzy nich — po co i na co? — i polazł, choć to powiadają — grzech... ale niechta! Już bardziej nie zgrzeszę

leczoną bywała fotografja, biedaczka, na której ciele okrutne dzieją się doświadczenia, okrutne!

Wystawa tegoroczna podobno jest od uprzednich wspanialsza. Nie wiem, zapewne i tamte ogromne były, tylko, że ta ostatnia tem, że ostatnia, wywiera szczególne wrażenie.

Przyjęty podział na wieki w istocie nic nie przynosi, żadnych przełomów nie sprawia, przywiązanych do chwili początku i końca. I tak np. w roku bieżącym dnia 31. grudnia wieczorem nic oburzeniem protestu nie krzyknie, ani się gromem prawdy zapali.

A jednak, a jednak... chcąc niechcąc, ulegamy uroczystej zadumie.

Bo w każdym razie w pojęciu naszem to karta.

Zapisana nareszcie do ostatka, a różnie.

Oto się wiek ten do przeszłości nachyla. Genjalny, rozumny i krwawy i... podły!

Ciekawa rzecz oglądać zebrane, streszczone te ślady jego, zasługi, zyski.

Miasto Paryż postawiło sobie w ulicy swego imienia gmach ogromny, ale nie piękny.

Ulica paryzka rozpoczyna się trochę opodal od bramy głównej, a idzie prawym brzegiem Sekwany i dość daleko.

Krzykliwa jest i wesoła, bowiem tu rzędem ciągną się teatrzyki, restauracje, kawiarnie.

U drzwi teatrzyków przedsiębiorcy i służba dowcipami zapraszają ciekawych do środka.

U wstępu ulicy ów pawilon stołeczny. Nazywa się to pałacem miasta Paryża, ale jest — buda! olbrzymia, olbrzymia buda!

A za to wnętrze warto dokładnie obejrzeć. Rodzaj ogromnej sali: dokoła dwupiętrowe galerje. Na dole zdrowotność wielkiego miasta, a zatem system wodociągów i ścieków, oświetlenie ulic, oddziały żywności, dezynfekcji, weterynarji i medycyny. Tutaj ciekawe zestawienie i chlubne. Z jednej strony pokoik szpitalny dzisiejszy: łóżko wygodne, stolik umyślnie do potrzeb chorego zastosowany i krzesło. Po drugiej stronie już tylko łóżko wprawdzie bardzo szerokie, ale — widzimy na niem cztery postacie, z trudem poukładane i męką.

Chorzy w poprzek leżący i ściśle poumieszczani, jak towar na dnie pudełka.

To są figury jakieś gipsowe, czy inne, to lalki, ale wtedy na legowiskach podobnych to byli — ludzie.

Łóżko na cztery osoby, używane powszechnie w szpitalach z 18 wieku.

Jednakże różnica pocieszająca.

Dalej znajdują się jeszcze laboratorja miejskie, archiwa, urządzenia policyjne i ratunkowe, plany i odtworzenia szpitalów, ochronek, zarobkowych domów, przytułków i td. no, i t. d. i słowem mnóstwo całe. To jakby wielkiego miasta puls i arterje: krew bieży niezmiernie żywo.

Na piętrze górnem ciekawy dział wychowawczy i szkolny. Dużo szkół zawodowych, a prace uczniów starannie wykonane i ładne. W szkołach miejskich początkowych i wyższych także okazy robót ręcznych obok zeszytów i książek. Publiczność z zajęciem wielkiem zeszyty uczniów przegląda. Słychać uwagi i porównania. Istotnie, co może zająć goręcej? Dzieci — to jutro.

Dzieci zdrowe pod każdym względem to jutro pogodne i pewne.

Ale nie wszystkie takiemi być mogą, nie wszystkie.

Bywają przecież nieuleczalnie chore: ślepe, głuche, idjotyczne, podlegające napadom epilepsji, obłędu. I te biedaki nie próżnowały: widzimy rzeczy istotnie podziwu godne np. wyroby paciorkowe: kwiaty z drobniutkich paciorek, robota ślepych dziewcząt. Albo tamto wyszywane na atłasie z przytułku dziewcząt idjotek. Mali idjoci potrafili oprawić całą gromadę książek; między innemi spostrzegamy nazwę znajomą: to tłumaczenie powieści Urbanowskiej: „Księżniczka“. Jakiej potrzeba cierpliwości niezmiernej, by tych biedaków maleńkich do tego stopnia rozwinąć i podnieść.

Ratunek najbardziej upośledzonych i smutnych.

Za tym pałacem miasta Paryża kilka cieplarni przepysznych, pawilon pomologiczny, obszerny pawilon ogrodniczy, gdzie widać nasiona, rysunki roślin, plany ogrodów i parków, wazony do kwiatów, a nawet ogrodowe fotele i krzesła.

Dalej jest gmach, nazwany pałacem ekonomji społecznej.

Na lewo oddział francuski, na prawo to inne państwa. Anglja, a raczej Wielka Brytanja (zważywszy na obecność Irlandji i Szkocji) wystawiła

---

Chłopczyska pędzą poza wozem, syn blacharzów tyż pomiędzy nimi i drą się głośno, przedrzeźniając płaczących za trumną.

A mnie, jakby kto po pysku bił — taki za nich wstyd jakiś... Jakby i ja był winien sam...

Ludzie wyzierają z okien — wychodzą przed sienie. Wyjrzał i blacharz z naprzeciwka, patrzy na syna krzyczącego i śmieje się po cichu.

A mnie wstyd pali, nie wiem już, za kogo... Jakby ja sam był winien... Jeden sam...

Może i źle robię — myślę sobie — idąc za pogrzebem... żydówki. Bo przecie nią była. Darmo! Każdy wie o tem.

Ale ona się mnie pytała wtedy, czy mnie boli, czy bardzo boli... Nikt nigdy się nie spytał na calutkim świecie... Ona jedyna.

Czerterz 1899.

Wł. Jarosz.

tablice rozwoju stowarzyszeń spożywczych oraz wytwórczych.

Na ścianach całe szeregi fotografji: grupy ze szkół rozmaitych: rolniczych, rzemieślniczych i przemysłowych. Przyjrzeć się warto, by zauważyć, jakie tam w wychowaniu miejsce pokaźne pozostawione ćwiczeniom fizycznym.

Ogromna mapa Londynu wskazuje dzielnice, zamieszkałe przez ludność bogatą, zamożną, ubogą i najbiedniejszą.

Klasa każda ma kolor odmienny i tym kolorem obrysowane miejsce pobytu. Podług tej mapy wypada, iż najbiedniejszych niewiele, tyle, co bardzo bogatych, a przed innemi liczną jest klasa średnio zamożna. Niezmiernie pocieszające, a jednak słyszało się zawsze o tej otchłani nędzy londyńskiej niby o piekle. A może przez okulary jakieś różowe opracowana ta świetna mapa?

Pawilon ekonomji społecznej...

Kto tu powinien zajmować miejsce najobszerniejsze i pierwsze? Kto w Europie najwięcej ludów zduszonych, połkniętych, pożartych ma we wnętrznościach swych i w sumieniu?

Pójdźmy do rosyjskiego oddziału, obaczmy. Oto kilka budyneczków maleńkich, jakby zabawki: to odtworzenie teatru, ochronki, szpitala i szkółki; wszystko się ma znajdować kędyś przy wielkiej fabryce w Twerskiej gubernji.

Dalej na ścianach fotografje domów i herbaciarni ludowych.

Herbaciarnie pootwierano po wsiach i miasteczkach, domy ludowe znajdują się w miastach znaczniejszych i mieszczą w sobie restauracje, czytelnie, a czasem noclegowe przytułki i teatr.

Kaługa, K a l i s z, Samara, M o h i l e w, Ufa, M i ń s k, Kazań i N o w o g r ó d e k — pod jeden strychulec podciągnięte i jedną miarę nieubłaganą. Wszędzie to samo: czytelnie obowiązkowo rosyjskie, przedstawienia w języku rosyjskim, śpiewy w języku rosyjskim, wykłady i pogadanki.

Wyjątek połowiczny stanowi Królestwo polskie, ale i tam rodzinna mowa mieszkańców to zło konieczne, cierpiane, bo jeszcze całkowicie usunąć go nie można.

Bo nie dla ludu ludowy dom, lecz dla cara.

A jednak w tym to oddziale oglądać możemy zbiór wielki życia.

Typów rozmaitość ogromną: między Kałmukami i Mordwą odnajdujemy Polaków... Czuchońcy, Litwini, Łotysze, Tatarzy, Mało- i Białorusini, Gruzińcy. Tak niepodobni do siebie, tak oddaleni przestrzenią, przeszłością, charakterem, stopniem kultury i warunkami rozwoju, życia.

Ale to próżno, bo państwo postanowiło dla wszystkich jedną uczynić szkołę i zastosować do niej i nagiąć.., i obciąć, co wybujało, i złamać.

Obaczmy, jakie czynniki wychowawcze, pomocne.

Jeżeli czego tu dosyć, to portretów cesarza, i cesarzowej i całej rodziny carskiej i panującego domu, począwszy od przodka Michała.

Czynnik jeden — caryzmu.

To ma do przetrawienia połkniętych pomagać... Smutno patrzeć i myśleć.

Dla publiczności tutejszej pawilon rosyjski to coś w rodzaju Kambodży, lub Honolulu. Również dalekie i obce, tylko bardziej wzbudzające podziw i zachwyt.

Wszystko to piękne, cudowne i doskonałe! Niedarmo odprawia Marsyljanka nieustanną adorację białego cara.

Rzucają się gorączkowo do oglądania portretów cesarskich, wytrzeszczają oczy na urządzenie małej herbaciarni ludowej, na wyszywane ręczniki, samowar i obwarzanki.

Nie wiem, czy komu do myśli przyjdzie pytanie: oto państwo, które w tym wieku pochłonęło tylu żywotnych i żywych... Co dać im zamierza, co począć?

Smutno, nietylko nam połykanym. Smutek to... większy,.... bezstronny, ludzki.

Bo oto naród niezaprzeczenie zdolny, bogato obdarzony, głęboki, zasobny.

I co ten naród ludzkości złożył przy końcu wieku?

Powiedział: „Głodny byłem i chciwy, łakomy na wszelkie życie.

Chciwy byłem i żarłem.

Alem jeszcze w sobie nie przetrawił. Niedosyć!

I przyszły wiek dwudziesty obrócić zamyślam na całkowite przetrawienie żyjących".

Tak jeden z silniejszych narodów ludzkości mówi.

Pereświt.

„Dobrane Pary“

LUDWIKI GODLEWSKIEJ.

Kwestja niedobranych małżeństw i wogóle rozmaitych kolizji matrymonjalnych była już po wielekroć opracowywana przez pióra kobiece, lecz albo przedstawiano ją w zbyt jaskrawych barwach, zwłaszcza w owych czasach, kiedy ruch emancypacyjny przechodził u nas swą ostrą fazę, albo też przedstawienie trąciło sentymentalizmem. Dziś prąd emancypacyjny płynie już uregulowanem korytem i zamiast deklamacji, postawił sobie za zadanie pracę. W sztuce zaś kwestja stosunku mężczyzny do kobiety pod piórem niewieściem nabiera coraz więcej pogłębienia życiowego i trzeźwego oświetlenia.

Powieść Godlewskiej „Dobrane Pary“, nagrodzona na konkursie „Głosu“, posiada właśnie ową trzeźwość i miarę, która nie dozwoliła autorce zbyt popuszczać wodze oburzeniu na dotychczasowy ustrój, odmawiający prawie zupełnie szczęścia rodzinnego kobiecie-człowiekowi, a który zdaje się szczególną otaczać opieką kobietę-lalkę i kobietę-gęś. Stąd wypływa pewne nieporozumienie wśród męskiej połowy czytającego ogółu, która po większej części nie rozumie dotkliwej satyry, kryjącej się w powieści, na mężczyzn, tak zwanych „wyższych“ i bierze to za satyrę, napisaną przez kobietę na kobiety.

Wprawdzie i one nie są tam oszczędzane, owe „słodkie kapłanki domowego ogniska“. Obok kilku dodatnich typów niewieścich, mamy wszelkie odmiany ujemnych, od lalek, aż do kwoczek domowych, skreślonych z drobiazgową, fotograficzną niemal dokładnością. Istnieją pewne cechy charakterów kobiecych, które tylko kobieta może pochwycić, mianowicie, jeśli idzie o naturę ujemną — ale nie tę w wielkim stylu, co to za pomocą szatańskiej przebiegłości gubi ludzkie istnienia; nawet nie taką, jaką Daudet przedstawił w swojej Sydonji z *Firmy Fromont i Risler*, bo tam także występek przybiera szersze, imponujące niemal rozmiary — ale taką codzienną, poziomą, drobiazgową, której życie całe składa się z drobnych kłamstw, wybiegów podłostek i oszustw, zawsze jednak osłoniętych parawanem niepokalanej cnoty i obowiązku. Tu niema gwałtownych kataklizmów, niema namiętności, które porywają i unoszą człowieka na swych rozhukanych falach. Jest tylko podstępne działanie wód stojących, które nieznacznie podmywają warstwy jedne po drugich, chociaż na pozór nic się nie zmieniło w ich pobliżu. Jest to niebezpieczeństwo, wynikające z obcowania mężczyzny, rozwiniętego duchowo, z kobietą niższą pod względem umysłowym i moralnym, wówczas kiedy ta kobieta jest jego żoną i matką jego dzieci. Taka „kapłanka domowego ogniska“ jest we własnych oczach i w oczach męża wzorem żony i matki; tymczasem obniża poziom duchowy mężczyzny, który nieraz pod jej wpływem czyni ustępstwa z własnych przekonań i dopiero po wielu latach, gdy znika pociąg zmysłowy, oczy mu się otwierają, staje się malkontentem i piorunuje na cały ród kobiecy.

Autorka poruszyła dwa bardzo ważne zagadnienia psychologiczne, które jeszcze dotąd nie zostały rozwiązane, a mianowicie, pierwsze: Dlaczego żona, kobieta wyższa, może podnieść do siebie męża duchowo niższego, a przeciwnie mąż, wyższy umysłowo nagina się powoli do niższego poziomu swojej żony? Drugie zaś — dlaczego mężczyźni duchowo rozwinięci, czują zawsze pociąg do żenienia się z lalkami?

Jest to niemal prawem natury, że gdzie stają do walki z sobą kobiety: piękna i brzydka, tam zawsze piękna zwycięży; ale jeżeli po obu stronach znajduje się piękno fizyczne, dlaczego zwycięża zwykle strona, pozbawiona piękna moralnego? Dlaczego mężczyzna, najbardziej szanujący w życiu szczerość i prawość, nie ocenia jej w kobiecie i daje się złapać na fałsz, podstęp i kokieterję?

Oto są kwestje, poruszone w powieści „*Dobrane Pary*“, kwestje, mające nadzwyczaj doniosłe znaczenie, bo nie idzie już tutaj o cały zastęp kobiet rozumnych i szlachetnych, które pozbawione są ogniska domowego, ponieważ niechcą uczynić niegodnego siebie wyboru, a mężczyźni, równi im, nie chcą ich ocenić — nie, nawet ta kwestja, jakkolwiek ważna, blednie wobec innej, stokroć ważniejszej, a tą jest obniżanie się poziomu duchowego całego społeczeństwa, na które kobieta zawsze ma wpływ największy, jako żona, matka i wychowawczyni.

Spojrzyjmy teraz, jak autorka wywiązała się ze swego zadania.

Widzimy rodzinę Borskich, składającą się ze starych rodziców, trzech braci i siostry Hańki. Wszystkie małżeństwa, naprzekór tytułowi, są tu bardzo „niedobranemi parami“. Bo weźmy naprzykład takich starych Borskich: ona, prawdzi-

---

Woleliśmy nie pisać nawet o tak niepowszedniem zjawisku w świecie literackim, jak powieść niniejsza, niż ściągnąć zarzut działania *pro domo sua*. „Dobrane Pary“ były bowiem i w „Kurjerze“ drukowane. Dziś powtarzamy ocenę M. Łopuszańskiej, literatki z Warszawy, z „Poglądu na świat“, znakomicie redagowanego przez W. M. Kozłowskiego.

wa polska matrona, z owych typów, które jeszcze, dzięki Bogu, nie zaginęły u nas zupełnie i każdemu z nas są dobrze znajome, bośmy nietylko na dawnych portretach je widzieli. Kobieta z sercem, ale pełna hartu; matka, która kocha dzieci nad życie, ale wolałaby je widzieć na marach, niż splamione nizkim czynem; on zaś — wojak dawny, ale obecnie zdziwaczały, zdziecinniały, jest już tylko jakimś wyszczerbionym antykiem, nie człowiekiem. Należy on do tych ludzi, co to nie umieli przeżyć swoich ideałów i którzy powinni byli zginąć wraz z ich upadkiem, zwłaszcza, że umrzeć pięknie potrafią. I stary Borski umarł pięknie, bo usłyszawszy wiadomość (fałszywą zresztą), że syn popełnił nieuczciwość, padł na miejscu, jak rażony piorunem. Na katafalku zamiast krzyża, włożono mu do rąk szablę, a każdy, kto spojrzał na tę postać, odchodził poważny i zamyślony.

Ale synów wychowała sama pani Borska, bo mąż jej dbał głównie o to, żeby prosto nogi stawiali i jeździli konno.

Przejdźmy teraz do młodego pokolenia. Tu znajdziemy dysonanse, daleko bardziej krzyczące.

Stanisław, Marjan i Walenty Borscy, oraz p. Stefan Ładysz, wszystko to są ludzie wyżsi umysłowo i moralnie; wszyscy wedle słów jednego z nich: mają „wstręt do mętów i kałuży, tak samo, jak do brudnej bielizny“; każdego z nich otacza wykwintność moralna, że tak powiem. Czemże się to dzieje, że wszyscy się żenią z kobietami, które w niczem do nich nie pasują — a jednakże pomimo drobnych nieporozumień, na ogół są prawie dość szczęśliwi w pożyciu ze swojemi Melciami, Florciami, Jankami i t. d.? Przecież te kobiety nie interesują się wcale ideałami, którym służą ich mężowie — są poziome, głupie, płaskie, kłamią na każdym kroku przed własnymi mężami i przed całym światem, dzieci wychowują na lalki i nawet nie posiadają przymiotów dobrej gospodyni, bo nie mają pojęcia o porządku. A kiedy Ładysz spotyka na swej drodze Hańkę Borską, dziewczynę rozumną, dobrą, prawą i przytem piękną, nie umie jej ocenić i zrywa z nią, aby się niebawem zaręczyć z Janką Tygłowską, zmysłowym, zepsutym podlotkiem, któremu spryt i wyrachowanie wynagradza brak inteligencji. Hańka tak mocno odczuła zawód, że usiłowała się otruć; gdy nie chce pić mleka, podawanego jej jako antydot przeciwko truciźnie, matka powiada jej stanowczo:

— „Twój ojciec nie dla kochanek nastawiał piersi, twoja ziemia nie takich potrzebuje dramatów. I ty się trujesz dla narzeczonego, który wolał tamtą? Może mu chcesz dowieść, że go kochałaś bardziej, niż matkę, której byłaś życiem? Pij!“

I Hańka zwyciężona pije — i zostaje uratowaną.

Jeszcze dwie dobrane pary; to małżeństwo Linkowskich i Wieżajskich. Linkowska, skończywszy medycynę, praktykuje w Warszawie, co jej nie przeszkadza być wzorową żoną, matką i gospodynią w domu; on za czasów kawalerskich trochę szaławiła i hulaka, pod wpływem żony stał się porządnym i pracowitym. Jest to jedyna, „dobrana para“, bo tutaj nietylko żadne z małżonków nie czyni koncesji na rzecz swoich przekonań, ale mężczyzna istotnie uszlachetnia się przez obcowanie z rozumną i szczerą kobietą. Co do Wieżajskich, to on jest dziwakiem, trochę satyrykiem, ale rozumnym i zacnym, ona zabiedzoną kwoczką, patrzącą oczyma, które „wyglądały, jakby ludzi, świat i samego Boga przepraszały za to, że patrzą“. Bezustanną i jedyną jej troską jest, by Jurek nie objadł się kaszki i nie zachorował na brzuszek, żeby Ignaś nie zaziębił się, idąc do szkoły i t. d. Zazdrości hotentotkom, że nie mają szkół, pensji, kolegów, restauracji i teatrów. Szkołę i naukę wogóle uważa za jakieś potwory na wzór smoka wawelskiego, które czyhają na jej dzieci, żeby je pożreć. Doktor, jak każdy Polak, mądry po szkodzie, zaczął wreszcie od takiego zbioru przymiotów macierzyńskich uciekać do knajpy; zresztą sam się zajmuje nauką i umysłem dzieci, bo matka nie ma czasu na to, zajęta wciąż myślą o kaszkach i rosołkach. Staje się też biczem Bożym na wyższych mężczyzn, którzy upodobali sobie w gęsiach. Twierdzi on, że rozumną i szlachetną kobietę oceni tylko bawół, albo lampart.

— Powiedźcie mi szczerze, zapytuje obecnych, czyście też kiedy spotkali starą pannę nieporządną i niesystematyczną, co? A gdy odpowiadają mu zaprzeczeniem, doktór Wieżajski w dosadnych słowach maluje, jaką musi być kobieta, mająca szanse podobania się mężczyznom: „okrąglutka, troszkę spocona, troszkę pachnąca, więc przylepka, jednem słowem — prawdziwa kobieta“.

W innem miejscu doktor powiada, z powodu narzeczonej Marjana Borskiego:

— *Belle, bonne et bête* — takich się nie zapomina, gdyż właśnie pasują do dębu. Dąb dla niej będzie rozwalał mury, zrobi z siebie wszystko, nawet zgłupieje, tylko nie zapomni. A im więcej wart, tem większej lalki będzie mu potrzeba. Prawdziwej kobiety nie doceni nigdy, chyba, że to cudza żona. Już tak umówiliśmy się, my, wyżsi mężczyźni, czyli zdolni idjoci i zapaleni niedołędzy“.

Zdania te, głoszone przez doktora, wyrażają widocznie poglądy autorki na sprawę.

Wszystkie postacie ujemne, jak mamy Tygłowskiej, jej syna Bolka i dwóch córek: Melki i Janki, oraz pani Flory o ptasim mózgu, są z życia wzięte. Przypominają one typy w „Siostrach Malinowskich“ Konara, który odmalował wszakże sferę drobno-mieszczańską; tu zaś mamy sferę drobno-obywatelską. Tylko tam autor pogłębił więcej tło i pokazał nam grunt, na którym urosły takie mamy i siostry Malinowskie,

dlatego też powieść Konara, jakkolwiek może obejmuje ciaśniejszy zakres, wyżej stoi pod względem artystycznym. Autorka parę razy stara się rzucić światło na stosunek wyższych mężów do swoich żon, wcale nie wyższych, zaznaczając, że tu grają rolę czynniki całkiem nieidealne, niemające nic wspólnego z duchem (np. scena między Walentym Borskim a jego żoną, lub między Ładyszem a Janką). Bardzo też dobrze oddany jest ów rozdźwięk, który zaraz już od pierwszego dnia istnieje między Hańką a jej narzeczonym,— rozdźwięk stopniowo zwiększający się i doprowadzający wreszcie do zerwania.

Co do postaci dodatnich, to jedną z najlepszych jest stara Borska, a także Linkowska. Hańka jest trochę blada, zarówno jak i Ładysz, który nabiera więcej wyrazistości dopiero wtedy, gdy występuje w świetle ujemnem. Zrazu czytelnik patrzy na niego oczyma zakochanej Hańki; dopiero później autorka ściąga go z piedestału bohatera. Znakomicie narysowany jest stary Borski — mniej wypukle, ale także dobrze, nakreślone są postacie Stanisława i Marjana Borskich. Bardzo piękne w kilku miejscach są opisy krajobrazów, które nie stanowią tu jedynie dekoracji dla ludzkiego dramatu, lecz są głęboko i szczerze odczute. Nadzwyczaj dramatyczne wrażenie robią: scena śmierci i pogrzebu starego Borskiego, oraz scena otrucia się Hańki. Wogóle powieść po przeczytaniu pozostawia czytelnika w nastroju bardzo pesymistycznym; autorka w swoim obrazie nie kładła ani zbyt posępnych barw, ani też zbyt jasnych; z tego wynika jakiś nastrój szary i smutny, jakby jesienny, który nawet w oddaleniu nie wskazuje nam weselszych horyzontów. W każdym razie jest to jeden z wybitniejszych utworów ostatnich czasów.

M. Łopuszańska.



Prelud.

Co dnia
Słońce za las się chowa
I płonie purpurowa,
Wiosenna, łuna zachodnia...
Niebo w mgłach tli się i mieni,
A krzewy, zarośla i drzewa,
Przejrzystą chmurą owiewa
Opar zieleni...

Świat w mroczne zapada cisze
I słychać niemal jak złota,
Nad brzozą gwiazda migota...
Coś słyszę...

Coś duszę moją urzeka,
Coś młode trawy kołysze,
Coś ku mnie idzie z daleka,
Coś słyszę...

* * *

Poznaję ciebie po chrzęście
Ziół świeżych i duszą cię chłonę
Wzmierzchy woniami fiołków przesycone
Idące mimo o, Szczęście...

Zawrat.

Z pism i książek.

Sienkiewicz u Serbów i Słowieńców. W bieżącym roku po innych drobnych przekładach, wydanych w r. 1898 przez Macierz chorwacką, wydał prywatny nakładca, Scholz w Zagrzebiu, »Quo vadis« w przekładzie dr. Augusta Harambasića, znakomitego liryka chorwackiego.

U nas Serbów — pisze z tego powodu — Srpskim Glasie Marek Car — oprócz tych kilku powiastek, które przełożył J. Manojlowić (Rojko) dla bibljoteki braci Popowiczów i oprócz »Organisty z Ponikły«, który wyszedł w »Zabawniku«, Serbskiej Literackiej Spółki (Srpska književna Zadruga), nie przełożono nic z Sienkiewicza, o ile mi wiadomo, tylko same mniejsze rzeczy w pismach literackich. Z jego większych powieści w serbskim przekładzie nie mamy żadnej. I w tem, jak i w innych sprawach zostajemy w tyle za innymi narodami słowiańskimi, którym polski pisarz jest więcej znany...

Słowieńscy mają dwa przekłady powieści »Ogniem i mieczem« — Tłumacz podpisał się tylko M. M a wydawcą była Matica słowienska w r. 1893, która nie szczędziła nakładu i nietylko wydała to dzieło w pięknej szacie, ale zaopatrzyła je w bardzo liczne illustracje V. Olivy i E. Zillicha malarzy czeskich.

Znany wydawca goryćki A. Garbscek zapowiada wydanie, w tym roku illustrowanego »Potopu« w przekładzie słowieńskim, również jak i przekładu »Quo vadis«.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.